KRYSTYNA SARYUSZ ZALESKA

PEJZAŻE

Iza Brodowska

Dn. 7. 7. 82.

PEJZAŻE

PUSTOWARNIA I KRAKÓW

KRYSTYNA SARYUSZ ZALESKA

(K. LASKEZA)

76366

WSTĘP.

I.

Nad tym światem spoczęła złota chwała Pana:
Patrzę... ona na wierzbach rozgorzała płonie,
Słucham... idzie głosami ptasząt wyśpiewana,
Oddycham... ją mi niosą kadzidlane wonie.
Milczę, a ona duszę rzuca na kolana.

II.

Nie odejdą od Ciebie, Boże, Twoje dzieci!
Choć, w trudzie orząc ugor na dzienny kęs chleba,
W znoju i upaleniu nad ziemią schyleni,
Widząc tylko pył ziemi i czując pot czoła,
Zapomną, że nad niemi Ty i błękit nieba;

Lecz przyjdą w wieczór cichy po duszę człowieka
Zorze zachodu wielkie, złote i różowe,
I przyjdą po nią mroki lilijowych cieni,
I przyjdzie oddech po nią od polnego zioła,
I przyjdzie, patrząc na nią, światło księżycowe,
I przyjdzie gwiazda drżąca i słodka z daleka,
I przyprowadzą Tobie, Boże, Twoje dzieci!

W SŁOŃCE.

Pędzimy w złote słońce! Poza nami leżą
Mgły gęste, rozciągnione długiemi pasmami,
I głuche, czarne lasy stoją poza nami.
Ponurym, tępym wzrokiem pędzących nas mierzą.

Pędzimy w złote słońce! Przed nami się śnieżą
Mgieł strzępy, pospychane porannemi tchami,
Pędzimy w jasność drżącą rzęsnemi rosami,
W krainę zórz różaną, rozbłysłą i świeżą.

Coraz szerzej i szerzej świat się nam rozsłania,
Coraz szerzej i szerzej idzie dech zarania,
Coraz jaśniej i jaśniej błyszczą rosy drżące.

Coraz szerzej i jaśniej!... Światło nas pochłania!
Coraz mocniej, rozgłośniej młodością bijące
Rwie się serce w tę jasność!... Pędźmy w złote słońce!...

W NASZYM OGRODZIE.

W aleje puste w czarnym ogrodzie
Wieczór czerwcowy słodki nachodzi,
Po drzewach zcichłych w starym ogrodzie
Wieczorny powiew chodzi.

Na szczycie czarnej włoskiej topoli
Ostatni odblask złoty
Jak uśmiech mrącej istoty
Zachodzi w cień powoli.

Alei pustych w ciemnym ogrodzie
Tęsknota ducha mego nachodzi,
Aleją czarną w mrocznym ogrodzie
Duch mój z przeszłością chodzi.

Z za kolumn czarnych włoskich topoli
Księżyc powstaje złoty,
Fala ogromnej tęsknoty
Od przeszłej bije doli.

Za zczerniałemi stanęłam wroty,
Stoję i patrzę... a serce boli!

Z WIOSNY

Z WIOSNY.

I.

Oto już pąki Ciebie czekają nabrzmiałe,
I kwiat zielone gwałtem rozrywa więzienie,
I włóczą się po niebie twoje chmurki białe,
I życia zbudzonego przechodzi westchnienie:
O wiosno! o jasna! przychodź!

Ukaż się, wiosno! ukaż! niech wybuchną wonie,
Które dotąd w kielichach niezbudzone drzemią.
Niech pochodnia różana na niebie zapłonie,
Niechaj życia pieśń idzie rozkwieconą ziemią!
O wiosno nadziejna! przychodź!

. . . . . .

Wokoło Ciebie światłość biała i gorąca,
U stóp Twych kwiatów bujne, falujące łany.
Rozśpiewanego życia fala je potrąca.
Idzie miłość królowa, a świat jej poddany.
Przyszłaś, o wiosno! potęgo!

II.

O wiosenne wody!
Kocham tę waszą cichość ogromną i jasną,
Którą obejmujecie rozmarzoną ziemię!

Błękitną żywą wodą trawa podtapiana
Drży, młoda i wilgotna, świeża i wiośniana.
Odbity w głębi wodnej, drży liść olchy młody.

Łatacz szerokie liście na błękit wód kładnie
I kwiat złoto świecący, a głęboko na dnie
Chmurka biała i jasna ukojona drzemie.

Błyszczące światła puchów świecą nieruchomie,
Czasem powiew przeleci i rozerwie płomię,
Iskry srebrne rozrzuci: zaświecą i zgasną.

Z mistycznym półuśmiechem tajemniczej twarzy
Stoi w błękitach wolnych wiosna zamyślona.
Drży na czole dziewiczem królewska korona,
Dłoń nasiona wszechistnień nad światami waży.

III.

Widziałeś kiedy, jako w dzień majowy,
Z wierzb osypane, lecą srebrne puchy
I osiadają na wodnej głębinie?...
Jeden za drugim cicho, zwolna płynie
I niknie w cieniu jak te blade duchy,
Co mrą, nie znając, czem jest dzień majowy.

O biedne puchy! biedne srebrne blaski!
Gdy wszystko w świecie zrywa się do słońca,
Gdy tryumf wiosny w głośnym idzie gwarze,
Los niezbłagany zamierać wam każe,
Nie znawszy życia, iść do jego końca
I w chłodnej toni gasić srebrne blaski!

Tyle was w jasnem powietrzu się roi,
O biedne puchy! biedni bracia moi!

WIOSENNA BURZA.

W czerwonopłowem świetle, w bujnem rozchyleniu
Stoją pełne i ciężkie, świecąc fioletowo
Z głębokiego cieniu,
Bzów ciężkie kity.

Chmury w parnem powietrzu nieruchomo wiszą.
Powietrze przepojone duszną, groźną ciszą.
Straszno — jakby paść miało jakieś dziwne słowo
Wieścią grobową.

Nagle, jak błyskawica, co chmury rozrywa,
Pieśń słowicza powstaje głośna, przenikliwa,
Aż, na najwyższe dźwięku wydarłszy się szczyty,
Ton padł rozbity.

Burza! burza! burza!
W gromach i błyskawicach światłością połyska,
Drżąc elektrycznem drżeniem, wiosenne powietrze.
Grom, coraz bliżej rycząc, z niebios się wynurza,
Ogromne nad światami zatacza koliska:
Jeszcze chwila, a ziemię stopą ciężką zetrze.

Chwila, chwila jeszcze....
Pękł okrąg niebios, gromem na drzazgi rozbity!
Jako brylantów sznury dżdżu rozprysły strugi,
Po nich błyskawic świetlne przebiegają dreszcze.
Chylą się w dżdżach jaskrawych bzów rozkoszne kity.
Narcyzów chwiejne gwiazdy na łodydze długiej.

Przez deszczów spadających rozpuszczone szumy
Dźwięki słowiczej pieśni rozgłośnie się niosą,
W dole konwalii białych rozechwiane tłumy
Oczy swoje promienne przemywają rosą.

. . . . . .

Wtem, patrz! patrz! grom umilknął, a nagły i cichy,
Z poza chmur ukośny
Padł promień jaskrawy
Na kwiaty i trawy,
Na bujny krzew rośny,
Na kwiatów kielichy;
Rzuca się ogniście
Złotemi kołami między lśniące liście!

Gdzieś na skraju niebiosów siniejącej dali
Błyskawica samotna w milczeniu się spali.
Umilkających płaczy zamierają echa.
Ziemia wiosenna, drżąca po wiośnianej burzy,
Rozkosznie rozświetlona, przez łzy się uśmiecha
Jak dziecko, co się długiem płakaniem unuży...

Z NAD WÓD.

STAWY.

I.

Błękitne, kryształowe i szerokie wody,
W złoto ujęte piasków lśniących o zachodzie,
I łąk nizko schodzących szmaragdów blask młody.

Z brzegów, szeleszcząc zcicha w drżącej światłem wodzie,
W błękit i płynne złoto zstępują ku zorzy
Wysmukłych i strwożonych trzcin chwiejne narody.

Marzę: łabędziem być mi wśród wodnych przestworzy,
Który skrzydła różowym pobrzaskom rozłoży,
I tak płynąć, jak płyną bez wioślarzy łodzie.

II.

Zsunęły się mgły sine na błękitne tonie.
A różane drżą wody w słodyczy powiewie:
To idzie rozkosz senna w pomroków osłonie.

Rozbudził się szmer cichy i poszedł po lesie,
Aż hen! na ciepłych wodach trzciny się rozchwiały.
Idzie i wód westchnienie przez mgły mleczne niesie.

Ścichło wszystko na stawie, wody drżeć przestały,
I z brzegu żaden listek nie zadrga na drzewie:
Zeszedł na wody cichy księżyca duch biały.

III.

A chciałabym tak zasnąć, jak ten staw błękitny,
Mając w sobie księżyca spokój i milczenie,
Nie cierpieć, że wiatr zimny zwiewne mgły rozrywa,
I, nie drżąc i nie tęskniąc, pić gwiazdy wejrzenie,
Odpocząć tak, jak z ludzi nikt nie odpoczywa!
Ach! chciałabym tak zasnąć, jak ten staw błękitny!

I chciałabym tak zmilknąć, jak ten staw milczący,
Nie znać burzy, co gwałtem w sto pytań się zrywa,
I nie znać skargi jęku, którem drga cierpienie,
Ni łkania ostatniego, którem rozpacz wzywa,
Być pogodną a chłodną, jak stawu uśpienie!
Ach! chciałabym tak zmilknąć, jak ten staw milczący!

IV.

Wieczór pokłada się złoty
Na trzcin trwożliwe rozchwianie
I na koronę olch ciemną.
Twą zorzę daj nademną,
Wieczorów złotych Panie!

Powojów zadrżały sploty:
Do strug podchodzą pić łanie,
Traw wiotkich za sobą nie mną.
Niech Cię nie wzywam daremno.
Cichych tych stworzeń Panie!

Przed sobą widzą otchłanie:
Głąb nieba odbity w wodzie,
Chmur białożagliste łodzie.
Patrzą się w głąb i tajemną,
Bezwiedną przejęte trwogą.
Oczu oderwać nie mogą.
A z wody się patrzą na nie
Ich złote, trwożne oczy.

Panie błękitnych roztoczy,
Co tajemnicze otchłanie
W spokojne zakląłeś wody,
Co chmur wędrowne narody
Drogą prowadzisz nadziemną
Przez szlak słoneczny i złoty,
Boże człowieczej tęsknoty,
Na dolę mą spójrz, Panie!

NOKTURN.

Na twoje śnięte, księżycem zjęte,
Bezdenno ciche wody...

Na głąb wód cichych... na wonną falę,
Która potrąca
Umierające nadbrzeżne róże,
Na letnią, miękką, powolną falę.....

W czarnym, wilgotnym nocnym krysztale
Gwiazda wschodząca
Prześwieca,
A w kręgi duże
Łamie się w drzazgach światło księżyca.

Zadrżały wielkie, czarne zwierciadła...
To róża wonna opadła...

Na falę westchnień cichych i woni
Dusza się senna kłoni.
Na rozechwiane złote księżyce,
Na gwiazdy złote, co świecą na dnie
Jak wód wieczyście nieme tajnice,
Dusza się moja kładnie,
Na twoje śnięte, księżycem zjęte,
Bezdenno ciche wody!...

HYPNOZA.

Woda ogromna, bez końca,
Idąca
W światło magiczne miesiąca.
Niepewnej myśli bezmowne łabędzie
Wstrzymane w pędzie,
W rozchwiei tego, co było i będzie.

Mgieł ponad wodą zwieszona
Srebrzona,
Rozwiewna, drżąca zasłona.
Umarłych myśli, myśli, które były,
Srebrzyste pyły
W duszę człowieczą się zapatrzyły.

Z srebra jasnego miesiąca
Ciekąca
Woda w przepaściach milknąca.
Wód uchodzących wieczysta tęsknota!
Przez czarne wrota
Sączą się wody milknące żywota.

MORZE.

I.

O morze! pyszne morze! o morze olbrzymie,
Wpatrzone we mnie potęgą milczącą
Światła białego!
Czego chcesz, wielkie morze?
Czy chcesz mię ty przymusić, mnie słabą i drżącą,
Abym, w twą groźną światłość wwiódłszy ducha mego,
W bezbrzeżnem zachwyceniu, na klęczkach, w pokorze
Kazała mu powtarzać twoje pyszne imię?
O morze! morze!

Nie wzywaj, o morze! nie wzywaj daremno!
Mój duch biedny nie wróci z lodowej niewoli:
Nie ruszy swoich skrzydeł, co mu w lód zaskrzepły.
Królowa czarna patrzy!... nie wzywaj daremno!

Jak blask zimnych brylantów za zasłoną ciemną,
Czuwają straszne oczy... Nie wstanie z niewoli
Mój duch! — Nic mu nie trzeba, i nic go nie boli,
Tylko mu pióra skrzydeł w lód ciężki zaskrzepły,
A nie dojdzie do niego żaden powiew ciepły,
Coby go mógł obudzić. Nie wzywaj daremno!

II.

Z cichego błękitu,
Z białego rozświtu
Na błyszczące morze spadła biała mewa.
Świeci i wybłyska,
Srebrne iskry ciska.
Każda fala bujna, każda fala w biegu
Z piór białych zcałowuje blaski srebrne śniegu.
Kłębią się bałwany,
Kipią srebrne piany,
Świeci biała mewa!

Wzniosła się i płynie
W błękitów głębinie,
Na błękitnej dali
Jako śnieg się pali...
W błękit się rozwiewa,
Biała, jasna mewa!

I ja, o morze! morze! miałam skrzydeł dwoje,
I wyłamane burzą ciążą skrzydła białe.
Do ziemi gną się ciężkie i zlodowaciałe,
I ruszyć ich nie mogę!... Biedne skrzydła moje!

III.

Po uniesieniu wielkiem w sen uspokojona,
Kładzie się fala za falą
Na cichym brzegu.
Opadła w senne tonie mgieł miękka zasłona.
Na wysokości nieba księżyc świeci smutnie...
Uciszoną, białą dalą
Jak pole śniegu
Leżą piaski nadbrzeżne. — Jak zmęczone lutnie
Westchną gdzieś senne fale i w cichość zapadną...

O morze! ciche morze! zostaliśmy sami!
Nie przyjdzie fala bujna budzić nas krzykami!
Nie przyjdzie mewa śnieżna bić nas blaskiem w oczy!
Nie przyjdzie słońce patrzeć w mą duszę zmęczoną!
Srebrna cichość nas tuli przejrzystą zasłoną,
Smutne światło księżyca dusze nam jednoczy!

Cicho... o, cicho!...
Gdzieś w przepaściach ciszy
Słychać spadanie kropli po kropli łkające...
O morze! prócz nas jednych nikt tego nie słyszy,
Jak płaczą lody skrzydeł we łzy topniejące...
Może duch mój się budzi?...
O, cicho!... o, cicho!...

Libawa, 1898.

Z LUDOWEJ NUTY.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

WIECZÓR NA WSI.

Kiedy, przebiegłszy kraju szmat,
Uczuję dymy naszych chat,
Gdy na wieczorne cienie
Uderza blask przez szyby,
A cała milczy wieś,

Nie wiem, dlaczego, nie wiem, skąd,
Jakiś gorący wstaje prąd
I rwie mię w rozmarzenie —
Zda mi się... zda się niby,
Że mnie wędrowca czeka gdzieś...

Czeka mię chata taka, ot!
Wkoło chruściany taki płot
I ciepły blask ogniska.

Tam w wilię jakichś wielkich świąt,
Wsunięta w izby ciemny kąt,
Patrzę, jak ogień pryska.

Po oświetlonej skrawo ścienie
Rzucają sprzęty wielkie cienie,
A każdy w ostrem świetle drga.

Ćwierkanie świerszczy z za komina...
Tamten umilknie, ten zaczyna,
To razem ćwierka głosów dwa,

A na ruchomym blasków tle
Cicho a pilnie krząta się
Niewieścia postać blizka.

Z pod zawiązania białych chust
Wypukle kontur nosa, ust
Wyrzeźbia blask ogniska.

U nóg mych pies się w cieple grzeje,
Oczyma się do ognia śmieje,
Na łapach wsparłszy czarny łeb...

Ogień wygasnął, żar przyświeca.
Ucichły świerszcze. Z głębi pieca
Pachnie pieczony świeżo chleb.

MAJACZENIA DZIEWCZYNY.

«Moja matuś, spać nie mogę!
«Tak mi się coś roi...
«Jakieś dziwne, jasne kraje...»

— «Co ci, dziewczę, zaszło drogę?
«Co cię niepokoi
«I zasnąć nie daje?»

— «W ciepłem słonku pachnie miętą,
«Kwiecą się szałwije —
«O majowym ranku
«Bieleją niczyje
«Zagony rumianku...»

— «Bój się Boga! ot dziewczyna!
«Kur sąsiada piać zaczyna,
«Północ mija, ranek blizko!
«To ci bieda! ot dziewczysko!»

— «Moja matuś ukochana,
«Nie zasnę do rana!
«Jakiś w sercu dzwon mi bije
«Jak na jakie święto
«Głośno, mocno, bez ustanku!
. . . . . .
«Już, już zaraz! już, matula,
«Sen mi oczy stula.

«Rozchwiały się kwiatów grzędy...
«Chwieje się kwiat młody
«Jak na rzece wody,
»Kiedy idzie wiatr tamtędy
«I falą porusza.
«To przez błękit rozświetlony
«Gdzieś cerkiewne biją dzwony...
«Idą kwiatów korowody
«Gdzieś na święto, gdzieś na gody,
«Za cerkiewnym idą dzwonem
«Polem onem upojonem.

. . . . . .

«Do mnie idą, matuś moja!
«Cerkwią moja dusza!»

Bo ze sercem trzeba jak z ptaszyną,
Bo ze sercem trzeba pomaleńku.

(*Wyspiański: Legion.*)

Żyło raz serce w dziewczynie,
Ale już teraz nie żyje!

Żyło i biło w dziewczynie,
Gdy raz w słonecznej godzinie
Pytał się chłopiec dziewczyny:
«Czyje twe serce?» — «Niczyje,
Jeśli nie Twoje, jedyny!»

Żyło raz serce w dziewczynie,
Ale już teraz nie żyje.

Zabrał je chłopiec dziewczynie,
Porzucił w drugiej godzinie,
I wtedy serce dziewczyny
Znowu zostało «niczyje»:
On drugiej został «jedyny».

Żyło raz serce w dziewczynie...
Ale już teraz nie żyje.

OJ, ZBOŻAŻ WY, ZBOŻA!

Oj, zbożaż wy, zboża! zbożowe ścierniska!
Serce się nad wami od tęskności ściska!
Oj, zbożaż wy, zboża! zbożowe ścierniska!
Błękitne was nieba ciszą kołysały,
Uśmiechy, pozłotę i żar lejąc biały.
Błękitne was nieba ciszą kołysały!
Wietrzyk szedł cichutki po zielonym łanie,
Skowronek wydzwaniał srebrzyste śpiewanie,
A wietrzyk cichutki szedł a szedł po łanie!
Pod błękity skwarne giął się kłos bogaty,
Niosąc dary boże ludziom na objaty.
Pod błękity skwarne giął się kłos bogaty.
Pobielało żyto pod spiekotą siwą:
Hej, bracia! co żywo! na żniwo! na żniwo!
Pobielało żyto pod spiekotą siwą!

Zadzwoniły sierpy po rosie, po kłosie!
Kłaniają się zboża i sierpom i kosie.
Przedzwoniły sierpy po kłosie! po kłosie!
Prześpiewały dziewki nad łanem piosenki,
Przeszło żyto w snopki od ręki do ręki...
Prześpiewały dziewki nad łanem piosenki!
Daleko, szeroko — szczere, czyste pole!
Oj, spocznij ty, żytko, w zacisznej stodole.
Daleko... szeroko... szczere, czyste pole...

Zostaną się puste na jesienne noce
Hej! złote ścierniska, ścierniska sieroce!
Zostaną się puste na jesienne noce!
Hej! zbożaż wy, zboża! zbożowe ścierniska!
Serce się nad wami od boleści ściska!
Hej! zbożaż wy. zboża!... zbożowe ścierniska!

ŚCIERNISKA W ZMROKU.

Jak jasno w zmroku sinym błyszczą się ścierniska!
Zmęczonem skrzydłem opada
Mgła ociężała rosą,
Na zżętą ścierń opada
W wieczorny, ciepły mrok.
Selena srebrna, blada
Kądziel promiennowłosą
Wyprzędza, cicha, blada,
W wieczorny wprzędza mrok.

W wieczornej tej godzinie daleka, a blizka,
Dziwów kraina się schyla
Na cichą skroń człowieczą,
Wieczność się na nią schyla.
Jak blizko!... jeden krok!
Jak słodką jest ta chwila!
Jak takie chwile lecą!
Tajemnic pełna chwila!
A w wieczność.. jeden krok.

Chłodno: to rosa pada! lśnią w mroku ścierniska.
Szarzeje siny mrok.
Wieczność się na nas schyla. wieczność taka blizka!
Wieczności słychać krok!

ORKA W SŁOŃCU.

Po płowych polach w jesienne zarania
W światłości płowej chodzą woły siwe.
Mgła się na kresach w dół chyli i słania,
Pług ciągną woły powolne, leniwe.

I cisza zamyślona, promienna od słońca.
Stojąca we mgłach nizko i mgłami objęta,
Cisza jak step szeroka, bezmierna, bez końca,
Bez głosu, bez radości: w nieruchomość ścięta.

W szarości płowej stoi blask perłowy,
Po polach chodzą zwolna woły bliźnie,
Chodzą, lśniące białością, chyląc ciężkie głowy.
Za pługiem oracz idzie w błyszczącej bieliźnie.

ZA CMENTARNE WROTA.

Założą mi wołki siwe,
Założą, założą!
I powiodą mię przez łany
I przez ugór zaorany
Popod męką Bożą,
Gdzie się kładzie zorza złota
Żona wdowa, syn sierota
Powiodą mię żałościwe
Za cmentarne wrota.

Nie płacz, dziecko, nie płacz, synie
W zgrzebnej koszulinie!
Została ci wdowa matka,
Została ci ciepła chatka,
Zostały ci złote łany,
Chleb przezemnie hodowany. —
Czemu płaczesz? czemu? synie
W zgrzebnej koszulinie!

Moje wołki, moje siwe
Założą, założą!
Wyprowadzą mię za łany
Przez mój ugór zaorany
Popod męką Bożą,
Gdzie nie dojdzie zorza złota.
I precz pójdę ja, sierota,
Na dziedzictwo żałościwe
Za cmentarne wrota!

WIRYDARZ W SŁOŃCU.

„... *Glimmering through the dream of things that were.*“

(*Byron: Childe Harold, Canto II, str. 2.*)

. . . . . .

I przeszło przez kraj ojców tych postaci tyle!
Wszystkie śpią ukojone w zacisznej mogile,
I tylko czasem, w słonecznej godzinie,
Szereg ich blady i milczący płynie
Przez serce puste i osierociałe...

I.

Kwiatowy w słońcu ogród: rezedy pachnące,
Srebrnoróżowe, słodkie centyfolie duże.
Maki błyszczące łanem w ognistej purpurze;
Na ścieżkach białych — ostre południowe słońce.

Nad kwiatów jasnem morzem od gorąca drżące
Stoi powietrze ciche; ani chmurki w górze.
Coraz słodziej i mocniej pachną lśniące róże,
Coraz goręcej, wonniej na kwiatowej łące.

Ponad melisą białą, lawendą błękitną,
Gdzie czomber i szałwije, gdzie rumianki kwitną,
Nurzając się w motylów falującej tęczy,

Pszczoła złotoświecąca monotonnie brzęczy,
To zbliża się, oddala, i nagle ucicha,
Ukryta w dnie słodkiego, miodnego kielicha.

II.

Rezedy, słodkie róże, mistyczne lilije!
Melisy i lawendy i pachnące zioła!
Tęskność czasów minionych zaklęta w was woła.
Kocham te głosy, znam je, chociaż nie wiem, czyje.

Postaci wpółzatartych wid mglisty się wije:
Wszystkie usta są słodkie, a poważne czoła,
W wszystkich słoneczność kwiata i cichość anioła.
Świat daleki, a blizki, choć nieznany, żyje.

Czas rysy ich zatracił, rozwiała się dola,
Rzeczywistość ich życia, realność postaci;
Przeszły ich czyny, dzieje i myśli i słowa.

Lecz jak nad łanem kwiecia łuna lśni tęczowa.
Tak od tej ich przeszłości bije aureola,
Która światłem się mieni, choć kontury traci.

III.

Widzę ich domy jasne, widzę jasne dzieje,
I czyste dusze widzę i ciche wesele.
Widzę, jak pochylone biorą wonne ziele,
Jak na bielonej ścianie ich domów więdnieje.

Widzę je, widzę! Obraz się mieni i chwieje:
Widzę ich dni robocze i kwietne niedziele,
Szczęścia widzę, pokoju i wonności wiele...
I te, co w groby zeszły wraz z niemi, nadzieje!

A z tych postaci zwiewnych ta jedna, ostatnia,
Najbliższa dla mnie z ludzi, dziś także półjawa,
Którą kocham, o której nie mówię nikomu;

Do której dusza moja odwrócona stawa
Jak dziecię zabłąkane, co woła: Do domu!...
Chociaż tamte znikają, ta się nie ulatnia!

IV.

Z tej samej centyfolii, przed wielu już laty,
Pamiętam, jak Jej ręce przezroczyste brały
Z rosą róże pachnące. Owal twarzy biały
Pamiętam, czoło gładkie, schylone na kwiaty.

Pamiętam, jak to słońce kładło blask bogaty
Na nasze głowy blizkie, które razem stały.
Pamiętam, jak Jej usta włos mi całowały,
A oczy pełne były słonecznej rozświaty.

Chcę słowa Jej przypomnieć — a pamięć daremnie
Rwie w górę hen! do źródła: nić złota zerwana.
Po każdym dniu przeżytym i każdego rana

Ów kraj się cofa drogi w bezpowrotne ciemnie:
Powszedniość życia szara, płaska, dobrze znana
Zabija przeszłość-bajkę wkoło mnie i we mnie.

V.

Kiedy siądę tak w kwiatach i przymrużę oczy
I czuję ciepło słońca i zapach kwiatowy,
Powoli mi sen bije do rozgrzanej głowy.
Życie stąd tak daleko swój młyn wieczny toczy!

Wtedy dusza tak z wami dziwnie się jednoczy,
Że mi się własne życie zdaje jak sen owy,
Który śnię o was: znany, nieznany, echowy,
Fatamorganą złudną na pustyń roztoczy.

Zda mi się rzeczywistem tylko słońce, kwiaty,
Tylko istność tu wasza, światło i spojrzenia,
Które wonie przynoszą, słońce wypromienia.

Zdaje mi się, że waszej dotknę ręką szaty!
Tylko rękę wyciągnąć... nie śmiem podnieść ręki...
Idzie powiew cichutki, ciepły, wonny, miękki.....

LAS.

I.

Zielony chram, złocisty chram
Głęboki las
W zachodu czas!
Kolumien rząd: wysmukłe pnie,
Hen! idą w dal i gubią się,
Gdzie głębszy mrok się łamie
Na szmaragdowe cienie.
A w onym chramie
W głębi naw,
Nad tłumem zgiętych kornie traw
Świeczników drżą płomienie;
Gdy przyjdzie wiatru ruch,
Bodiaków srebrny puch
Jak świece u ołtarzy,
Jak tysiąc świec się jarzy!
A z konarowych świeci ram
Przez lekkie wyrzeźbienie,
Przez rzeźby, które liście tczą,
Jak bizantyjskie świeci tło
Złocistych nieb sklepienie.
Zielony chram, złocisty chram
Głęboki las
W zachodu czas!

II.

Koron dębowych w słońcu nieruchome liście
W błękit wrzeźbione głęboki
Starych gotyckich witraży.

W dole z nad traw i haszczów wybłyska ogniście
Wyniosłą głową kozioł złotooki,
Jak sylf stojący na straży.

Bajkowe uroki!
Czar bajki się marzy..

Znagła na traw podszycie, na kwiatowe kiście
Pocznie z szelestem padać w zielonawe mroki
Kroplami ogromnemi, głośno a rzęsiście
Złoto, co się na liściach wśród błękitów jarzy.

III.

Cicha w złocie zachodu leśna droga stoi.
Od złotych liści drzewa światła bije fala
I ściele się pod stopy i powietrze poi,
I obejmuje wkoło i wszystko rozpala.

I czuć, że nad tą ciszą i nad tym wieczorem,
Nad złotem rozmarzeniem i jasną pogodą,
Nad tą słodyczą wielką, w którą świat spowity,
Stoi tuż chłodna jesień, milcząca i blada.

Czuć ją w wielkiem westchnieniu, co idzie nad borem,
I po morzu mgieł sinych, co wstały nad wodą,
I po śnieżnych przędziwach, co idą w błękity,
I po tej melancholji, co na duszę pada.

IV.

Mrok szary, zimny stoi w powietrzu wilgotnem,
I konających liści pełno w niem westchnienia.
I grobowego chłodu, i grobu milczenia;
A blady smutek duma dumaniem samotnem.

Gromniczny blask kołyszą liście pozostałe
Nad bracią swą poległą. Co chwila liść nowy
Bez głosu się odrywa, w sen idąc grobowy.
Nietoperz ciche loty niesie w mgły zgęstniałe.

I smutna jestem smutkiem, bezsilna bezsiłą
Mdlejącej tej tęsknoty, co z pustkowia wieje.
Jak smutno młodej wiosny skończyły się dzieje!
O ziemio! ziemio matko i ziemio mogiło!

V.

W zmroku zimnym przydrożne drzewa się szamocą,
Żółtością bladą wstają, wychodzą z ciemności,
Strząsają z szmerem liście i drżą w swej nagości.

Pod szumem głuchym wichru z nadchodzącą nocą
Inne głosy się budzą, bezładnie splątane,
Jakieś szepty i jęki, westchnienia urwane...

Chwiejne cienie nieśmiało snują się dokoła,
Tają się głosy, szemrzą z wahaniem i trwogą.
Szeleści liść, trącony niewidzialną nogą.

Wszystkie siły, co lato za sobą gdzieś woła,
Odchodzą z płaczem szmerów i jękiem konania,
Na wicher idą zimny, który je pochłania.

Z ZIMY.

STEPOWA JAZDA.

Co nam wydmy, co zatoki?
Pędzą stepem nasze sanie!
Dzielne konie, step szeroki,
Noc — to nasze panowanie!
Hen! przed nami błysk kagańca.
Przed kagańcem wichry gnają.
Zapraszają nas do tańca.
Drogę z śniegów obmiatają!
A kaganiec w ogniu, dymie
Znaczy drogę swoją skrami.
Za nim ciągną się olbrzymie
Cienie czarne nad śniegami.
Koniom para z nozdrzy bucha,
Grzmią kopyta w zmarzłą drogę.
Ognistego śladem ducha
Pędzim w dymy, w skier pożogę!
Kopytami zbite śniegi
W kagańcowym blasku świecą.
Przez zatoki, wydm szeregi
Jak szatany konie lecą!
Osłonięte ciemnościami,
Gdzieś upiory się łopocą:
Hej, w wyścigi! hejże z nami!
Pędźmy razem głuchą nocą!
Ciemność dołem, ciemność górą,
Ani jedna nie lśni gwiazda!
Z upiorami i wichurą
Hej! piekielna nasza jazda!!

STEP.

Cisza i senność. Biały step dokoła,
A ponad stepem blady krąg miesiąca.
Nic się nie rusza, żaden głos nie woła,
I żaden powiew przestworza nie trąca.

I tak suniemy w dal tę srebrno-siną.
W śnieżystych puchach ślad za nami tonie.
Wkoło nas senne płatki śniegu płyną.
Przed nami księżyc idzie w chmur zasłonie.

Zda się, czar jakiś wziął nas już z tej ziemi,
I, ciała zzuwszy, w duchów jasnem gronie
Gdzieś płyniem ciszą, kędyś płyniem z niemi
Po niemej, mgławej, zagrobowej stronie!....

KRÓLEWICZ KSIĘŻYC.

Włóczą się, włóczą się mgły białawe,
Za złotym księżycem włóczą mgły!
Niosą za jasnym tęczane koła!
Z błękitu w błękit uchodzi książę,
I wszędzie za nim włóczą się mgły!

Patrzy się księżyc na mgły białawe,
Pod wzrokiem jego topnieją mgły.
Książę posłuszne za sobą woła,
Książę promieniem ze sobą wiąże
Służebne swoje: powiewne mgły.

KRZYŻ NA STEPIE.

Ponad pustkowiem stepu, nad śnieżystą bielą
Krzyż poczerniałe, milcząc, wyciąga ramiona.
Przed nim się fala śnieżna zaryła zmrożona,
I dziki wicher stanął nad śniegów podścielą.

Od szarych, zimnych dali dech śmierci się zbliża.
Idąc przez zmarzłe pola, groźny, a milczący.
Na złoty blask zachodu w pomroce ginący
Kładzie się błękitnawo cichy cień od krzyża.

Cień Twój, Krzyżu, błękitny padł na duszę moją!
Na cichych Twych ramionach duch mój odpoczywa,
I serce pod Twe stopy przenajświętsze spływa,
I oczy moje we łzach na Twym cieniu stoją.

Tyś jeden spokojnością wśród jęku orkanów,
Ty jeden w niebo wstajesz na tem białem morzu,
Ty jeden drogowskazem na pustem bezdrożu,
Ty jeden nierozwiewny wśród wydm i tumanów!

Tyś zabrał łzy z mych oczu, z ducha burz odmęty,
I żal mi wziąłeś z serca, jęk, co pierś rozrywa,
Natomiast cień Twój cichy do serca mi spływa,
Niebieski i spokojny, łagodny i święty!

Z KRAKOWA.

Z SZEROKICH ŁĄK.

Z szerokich łąk, z szerokich pól,
Od czarnych skib, z oranych ról,
Od wierzb i od rubieży
Przyleciał wiatr, przyleciał wiatr,
Przyleciał wiater świeży!
O ulic cieśń,
O zimną pleśń,
O błotem mur zbryzgany
Uderzył wiatr wiośniany!
O! to nie pole, to nie bór,
To nie zielona łąka!
Wiosenny wolny wietrze, nie!
Nie wolność to rubieży!

Bije się wiatr o zimny mur,
W ulicach ciasnych błąka,
I młode skrzydła w strzępy rwie
Wiosenny wiater świeży!

Miastowych ludzi szary tłum,
Co nie wie nic o wiośnie,
Nie wie, od czego brak mu tchu
I czemu serce rośnie!

To wód wiosennych doszedł szum,
Potężny a radosny!
To kwiat zakwita srebrny snu,
To pierwsza chwila wiosny!..

1900.

W PIERWSZY DZIEŃ WIOSNY.

O, patrzaj, patrzaj, duszo!
Ta ziemia czarna, w cieple pękająca
W bruzdy wilgotne, duże..
Ta ziemia ciepła przy murze...
Ta złotość słońca...
Ta jabłoni różowa i nabrzmiała kora.
Te zrodzone wczora
Liljowe i białe
Krokusy nieśmiałe —
To wiosna!
To wiosna radosna!
Patrz! naturę omdlałą w bezmiar słońca wlecze
Więzami słodkiemi.
Obróć na nie twe smutne wejrzenie człowiecze.
Idź z niemi!

A...!
Kiedy jeszcze tam w głębi łka
Głos skargi żałosny
Tej wiosny,
Której się we mnie narodzić nie dano!
I słyszę
Poprzez słonecznie rozzłoconą ciszę
Jak grób jej kopią bracia... w to słoneczne rano!

1900.

RYNEK W POŁUDNIE.

W słońcu stoi rynek stary,
W słońcu stoi stara wieża.
Ponad wieżą błękit bladnie,
A pod wieżą cień się kładnie.

Rozdzwoniły się zegary
Dwunastą godziną:
Jeden zegar głos podaje,
Drugi głos poszerza,
Zwolna bije zegar trzeci
Przez mgłę, co się srebrem świeci,
Tonami pacierza.

Stoi, stoi rynek stary,
Pełen słońca i dzwonienia.
Błyszczą mocno wież okraje,
Błyszczą stare skarpy z cienia.
Dźwięk gdzieś z muru, z wieży wstaje,
Dzwonią łuki i podsienia.

Biją, biją wciąż zegary!
W dole leżą krótkie cienie.
W dole wielką rzeką płyną,
Przez gorących płyt kamienie
W dal świetlistą i w dal siną
Płyną tłumy nieskończenie.

Rynek cały bije w dzwony.
Gwarem tętni, życiem płynie,
Uroczysty, rozświetlony,
W dwunastej godzinie.

Domine, dilexi decorem domus tuae.
Ps. XXV, w. 8.

I.

Świątynia Twoja pełna chwały Twojej!
Z gotyckich okien idą pożary rozświtu,
Łuną wielką objęły Twoje miejsce święte,
Złocone płoną linie na łuki pogięte,
Toną w blasku mgły złotej w sklepieniach z błękitu.

Na potopie mgły złotej, w łunach krzyż gorzeje,
I bieli się na krzyżu Twoje święte ciało.
Lud rozklęczony oczy podnosi nieśmiało,
Olśniony tą światłością, co się z góry leje.
Świątynia Twoja pełna chwały Twojej!

II.

Świątynia Twoja pełna smutku Twego!
Przez szare i wyniosłe gotyckie arkady
Na stalle opuszczone wielką, pustą nawą
Sączy się dnia ostatek bladością szarawą
I na kamieniach zimnych obumiera blady.

Smuga dymu kadzideł, w pasmo rozciągniona,
Wlecze się ponad nawą. Chrystusowa głowa
Nizko na pierś opadła. Ze skargą bez słowa
Na półotwartych ustach, opuszczony, kona.
Świątynia Twoja pełna smutku Twego!

III.

Świątynia Twoja pełna ciszy Twojej!
Zniknęły w cieniach nocy gzymsy i arkady,
Ustały kroki ludzkie i ludzkie westchnienia,
I tylko lampa tleje i wybłyska z cienia,
Tylko kontur ołtarza mignie czasem blady.

U drzwi świątyni stoi Twój pokój, o Panie!
Jak oko czuwające lampa cicho świeci.
Ukryty, zaciszony dla Twych słabych dzieci,
Patrzysz w wielkiej miłości i milczeniu na nie.
Świątynia Twoja pełna ciszy Twojej!

PLANTY WIOSNĄ.

Ktoś gra na flecie...

Kasztanów pędy gną się do góry
Jako świeczników rozramienienie,
Podnosząc pąki, pąki-płomienie.
Brzoza, spuściwszy ku ziemi sznury,
Cała wiosenną rozkoszą drżąca,
Listkiem leciuchno o listek trąca.
Na rozświetlone domów kontury
Wchodzą szerokie złociste łuny.
Przeszłość chwalebna rozrywa truny.

Ktoś gra na flecie...

Ciche w powietrzu budzą się wtóry,
Biegną światełka, suną się cienie,
Muzyka idzie rozmarzająca
Przez rozciągnięte słoneczne struny.

Ktoś gra na flecie...

I baśń się dziwna, urocza plecie.
Osnuwa w ciche, promienne czary
Tłum ten bezduszny, zgaszony, szary.

Ktoś gra na flecie...

NA PLACU PUSTYM.

Na placu opuszczonym ciemność i milczenie.
Światło latarń, tłumione mgłą gęstą, rudawą,
Czołga się po kałużach mętnej, brudnej wody.
Chwilami podmuch przyjdzie i rozerwie płomię
I składa skrzydła, miejską umęczone wrzawą.

Na plac czarne głęboko zapatrzone sienie...
Czasem z ich głuchej głębi ozwie się śmiech młody.
Śmiech krótki i rozgłośny, w połowie urwany,
W dziecinne płaczem nagłym zmienion uniesienie.
Czasem cień jaki mignie, sunąc popod ściany,
I krok samotny w mokre zadzwoni kamienie.

JESIENNY ZMROK.

Czarne gałęzie w deszczu zimnym mokną.
Ich kościotrupia, bezlitosna ręka
Uderza głucho w puste, ciemne okno,
A okno cicho odjęka.

Mrok dojmujący, mrok późnojesienny
Wszystko opływa, zatapia i chłonie.
Zagląda w okno, ociera się o nie,
Natrętny gość i codzienny.

A szczęście, gdy cienie
Odeprze lampy łagodne świetlenie!
Szczęście, gdy blizko wszystko, co jest twojem,
Kiedy nie szukasz nic poza pokojem,
Kiedy w swym domu razem z tobą siada
Cień ojca twego, dziada i pradziada!

Lecz biada ci! biada!
Kiedy ogarnie cię ta powódź blada
W zimnym i ciemnym i nie twoim domu,
Kiedyś twej duszy nie dłużen nikomu!
Mrok cię jesienny pochłonie, zaleje
Twoje pragnienia i twoje nadzieje.

Widzisz, jak w okno pełznie mrok zimny i głuchy?
O, zamknij oczy i zakryj je dłonią!
Niechaj cię lata dziecinne zasłonią!
Niech cię otoczą ojców twoich duchy!

Sunie się cichy jesienny mrok,
Zimny, wilgotny mrok!
O, podnieś dłonie i zakryj wzrok!
O, zamknij serce, by nie znalazł drogi
Do serca zimny jesienny mrok,
Bo serce stanie i skrzepnie od trwogi.
O, zamknij serce! o, zakryj wzrok!

UMARŁYCH DZWON.

Ulice puste umarłego miasta.
Zamróz bezgłośny i szary
Wymiótł trotuary.
Milczący przyszedł, i milczący wzrasta.
Między głuche domy
Zstąpił nieruchomy.
Na place puste rozszedł się w milczeniu
Wielkiem koliskiem,
Na każdym kamieniu
Martwym odpoczął uściskiem.

Umarłą, pustą, głuchą ulicą
Kondukt żałobny się snuje,
Kondukt cmentarza.

W mroku dwa rzędy komż białych świecą.
Blask ołowiany na trumnie.
Cisza przeraża...
Słychać, jak czarne konie miarowo
Stąpają głuchą, pustą ulicą.
Czarne piór pęki wieją nad głową.
Widać twarz księży bladą, woskową:
Każda się schyla ponad gromnicą
I drży światłością chwiejną i płową.

Nad martwem miastem i martwą ciszą
W mroźnej i szarej powietrznej głębi
Zahuczał zmarłych dzwon...
W chmurach, co nizko nad miastem wiszą,
Dzwon się rozbija, przewala, kłębi,
Jak głuchy wzbiera grom!
Pomiędzy skarpy i szare mury
Bije ponury,
O każdy bije dom!
Umarłych wstaje dzwon!
Z dołu i z góry,
Ze wszystkich świata stron
Umarłych jęczy dzwon:
Skon, skoon!... skon, skoon!.....

Nakładem autorki.
Odbito w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie pod zarządem Józefa Filipowskiego w miesiącu listopadzie 1901 r.

614718/2/24
H 30—

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
76366